

Inkowie w Polsce

fakty czy fikcja?

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych spore poruszenie w świecie literackim i naukowym wywołała sprawa tzw. „legends niedzickiej”. Kwestii tej poświęcono wiele publikacji prasowych w gazetach codziennych¹, magazynach popularnonaukowych², a nawet periodykach naukowych³. Domniemany pobyt Inków na Spiszu podzielał na wyobraźnię każdego, kto się zetknął z tą niesamowitą historią. Początkowo entuzjaści przeważali nad sceptykami, lecz z czasem to się zmieniło, zwłaszcza gdy ukazał się obszerny artykuł etnografa, Anny Kowalskiej-Lewickiej, która dokonała sumiennej i wyważonej analizy problemu. W jej ocenie brak wiarygodnych dowodów na potwierdzenie prawdziwości niedzickiej historii, ale nie można również autorytatywnie stwierdzić, że rzecz nie mogła mieć miejsca. Należy ją po prostu zakwalifikować do legend, z rzędu tych najbardziej romantycznych i interesujących. Takie postawienie sprawy na długo ucięło wszelkie dyskusje na ten temat. Pogląd ten przeważa zresztą do dziś.

W latach siedemdziesiątych sprawę „odkuzył” Jan Józef Szczepański⁴, ale nie spowodowało to już takiego poruszenia, jak wcześniejsze publikacje. W 1990 kwestia odżyła na nowo za przyczyną najbardziej wytrwałego jej badacza i entuzjasty, Aleksandra Rowińskiego, który w swej najnowszej książce⁵ z wielką

1. Jalu Kurek: *Krew Atahualpy nad Dunajcem*. „Dziennik Polski” z 10 sierpnia 1947 roku oraz wcześniejsza (z 1946) notatka tegoż autora w „Echu Krakowa”.

2. Wojciech Gielżyński: *Tajemnica skarbu Sapey-Inków*. „Dookoła Świata” z 25 grudnia 1955 i 1 stycznia 1956 roku.

3. Anna Kowalska-Lewicka: *Problem niedzickiej legendy*. „Ziemia” nr 1-2, 1956.

4. Jan Józef Szczepański: *Kipu*. Kraków 1978.

5. Aleksander Rowiński: *Pod klątwą kapłanów*. Warszawa 1990. Zob. także A. Rowiński: *Spadek po Synach Słońca*. Warszawa 1986.

pasją przedstawił nowy, przez siebie głównie zebrany, materiał dowodowy na autentyczność niedzickiej historii. Niestety, o ile nie można autorowi odmówić dociekliwości, to można mieć sporo zastrzeżeń zarówno co do metody, jak i rezultatów owych badań.

Poniższy tekst ustosunkowuje się zarówno do książki Aleksandra Rowińskiego, jak i do innych publikacji na ten temat, a także przypomina „niedzicką legendę” tym, którzy jej jeszcze nie znają. Powinna ona zainteresować zwłaszcza młode pokolenie indianistów.

I. Fakty

Ta niesamowita historia zaczęła się wiosną 1946 roku. Wtedy to Andrzej Benesz, student prawa, zjawił się w krakowskim kościele św. Krzyża zaopatrzony w stosowne upoważnienie z kurii oraz kosz pełen jaj. Były to argumenty nie do odparcia dla ówczesnego proboszcza parafii św. Krzyża, ks. Mytkowicza. Zaczynając kapłan zgodził się sporządzić odpis fragmentu dokumentu, który młodzieniec odnalazł, w jego obecności, w okładce starego mszału. Podpisany pod dokumentem Wacław Benesz de Berzewicz Baro de Dondangen w dniu 21 czerwca 1947 roku zdecydował się zaadoptować Antonia Inkasa, „sierotę jedną wiosną liczącą”. Proboszcz Mytkowicz potwierdził autentyczność odnalezionego dokumentu pieczęcią parafialną i własnoręcznym podpisem.

Z odpisem w rękę udał się Andrzej Benesz do Wojewódzkiego Urzędu Konserwatorskiego w Krakowie i przedłożył obszernie uzasadnioną prośbę o zezwolenie na podniesienie partii znanych mu schodów na zamku w Niedzicy w celu wydobycia ukrytego tam przez Wacława Benesza w 1797 roku testamentu przeznaczonego dla Antonio Inkasa, pradziada Andrzeja Benesza.

Kiedy Urząd wyraził zgodę, Andrzej Benesz w towarzystwie trójki przyjaciół oraz narzeczonej wyprawił się latem 1946 roku do Niedzicy. Tu 31 lipca, w obecności przedstawicieli miejscowej władzy (sołtysa, leśniczego, dowódcy posterunku WOP i dwóch szeregowych WOP-istów), wspólnymi siłami dziesięciu osób został podniesiony solidny kamienny próg spod bramy wiodącej na tzw. górny zamek. Pod nim, zagrzebana w ziemi, znajdowała się ołowiana rura długości 18 cm i średnicy 3,5 cm, sklepiana i zalutowana na końcach. Mocno skorodowana, łatwo dała się oderznąć z jednego boku. Ze środka wydobyto zwój zbutwiałych, niegdyś kolorowych, rzemieni zgrupowanych w trzy pęki, zaopatrzone na końcach w złote blaszki z wyskrobanymi na nich trzema słowami: Vigo, Titicaca i Dunajecz.

Po tym sensacyjnym odkryciu usunięto ślady robót, próg na powrót osadzono na swoim miejscu, po czym sporządzono protokół, podpisany przez świadków i uzupełniony urzędowymi pieczęciami sołtysa i komendanta posterunku WOP. Dwa tygodnie później, już w rodzinnej Bochni, Andrzej Benesz sporządził dla Wojewódzkiego Urzędu Konserwatorskiego w Krakowie sprawozdanie ze swej eskapady i jej efektów.

Sprawa natychmiast nabrała rozgłosu. Andrzej Benesz musiał ujawnić historię rodziną, która popchnęła go do tak niezwykłych poczyną, a którą ochrzczono później mianem „legends niedzickiej”.

II. Legenda

Wszystko zaczęło się w pierwszej połowie XVIII wieku. Sebastian Berzewicz, mieszkający na Wołyniu zubożały przedstawiciel możnego niegdyś rodu węgierskiego, z usposobienia awanturnik, wdał się w historię miłosną z panną postawioną o wiele wyżej w hierarchii społecznej. Kiedy sprawa się wydała, musiał uciekać przed zemstą roześlonych magnatów. Umknął do Kozaków, potem zagnało go ponoć aż do Indii, ale i tego było mu mało. Został więc korsarzem i grasował po morzach i oceanach, nim w końcu rzucił kotwicę u wybrzeży Ameryki Południowej i Peru.

Tu poznał przedstawicieli ocalałej z czasów konkwisty szlachty inkaskiej i pojął za żonę Peruwiankę królewskiej krwi Inków. Córcę, która urodziła się z tego związku, nadano imię Umina. W 1780 roku potomkowie Inków wy-



wołali w Peru antyhiszpańską insurekcję, która ostatecznie zakończyła się klęską Indian i straszliwym pogromem inkaskiej szlachty. Z przywódców powstania ocalał tylko jeden, Andres Tupac Amaru, który wraz z żoną Uminą, teściem Sebastianem, najbliższymi współpracownikami oraz wielkim skarbem zdołał umknąć do Europy.

Zbiegowie schronili się w Wenecji, tej „gospodzie Europy”, w której roilo się od uciekinierów z różnych stron świata, ale także i od tropiących ich agentów rozmaitych tajnych służb, w tym inkwizycji. Andres Tupac Amaru i jego grupa ukrywali się w Wenecji z dobrym skutkiem od 1783 roku do 1796, kiedy to wysłannikom hiszpańskiej inkwizycji udało się wreszcie wpaść na ich trop. Andres Tupac Amaru zginął zaszytletowany, osierocając rocznego synka, Antonia.

W trosce o życie córki i wnuka Sebastian Berzewicz porozumiał się z przebywającym akurat w Wenecji obywatel, hrabią Józefem Horwathem de Palocsy, w sprawie odstąpienia Sebastianowi należącego do Horwathów zamku Dunajec, który przez wiekami stanowił gniazdo rodowe Berzewiczów. Transakcja doszła do skutku i ściągane towarzystwo udało się do Niedzicy, licząc, że w tym zapadłym kącie zniknie przesładowcom z oczu na dobre.

Ale przeliczyli się. Wkrótce po przyjeździe znaleziono w zamkowej kaplicy ciało zaszytletowanej Uminy. Sebastian, wciąż krzepki, ale bardzo leciwy (99 lat!), ściągnął do zamku swego bratanka, mieszkającego w Krumlowie na Morawach rzemieślnika (krawca) Wacława Benesza de Berzewicz, aby nakłonić go do zaopiekowania się małym Antoniem.

21 czerwca 1797 Wacław Benesz, w obecności stryja i „Prześwietnej Rady Emisariuszy Inków” zobowiązał się na piśmie do adopcji Antonia Inkasa oraz do wypełnienia siedmiu innych warunków umowy, które brzmiały (w skrócie) następująco:

1. Wydać chłopca Inkom na każde ich żądanie.
2. Gdyby tak się nie stało, zapewnić chłopcu stosowne wychowanie, a gdy dorośnie, wyjawiać mu tajemnicę jego królewskiego pochodzenia i wydać mu testament „z trzech wieków i części złączony”, aby mógł odzyskać należny mu po przodkach spadek.

3. W razie śmierci spadkobiercy, tajemnicy dochować.

4. Testament zamknięty w ołowianej rurze ukryć po kryjomu „pod ostatnim stopniem pierwszej bramy górnego zamku” i żadnych poszukiwań na własną rękę nie czynić.

5. Opiekować się grobem Uminy pochowanej pod zamkową kaplicą.

6. Sprawować pieczę nad kupionym od Palocsayów zamkiem jako dziedzictwem Antonia.

7. Podpisać duplikat dokumentu sporządzonego w języku keczua.

Po podpisaniu dokumentów Wacław Benesz zabrał chłopca do Morawskiego Krumłowa, Inkowie wyjechali z Niedzicy, aby wrócić do ojczyzny i przygotowywać grunt pod kolejne powstanie, natomiast dziarski Sebastian wdał się wkrótce w awanturę o dziewczynę (!) we Frydmanie i ciężko ranny trafił na leczenie do klasztoru augustianów w Krakowie, gdzie zmarł w tymże 1797 roku.

Inkowie po Antonia nie wrócili, nie trafili też na jego ślad hiszpańscy siepacze. Ochrzczony 10 czerwca 1798 roku, w 1826 ożenił się z Barbarą Rubinowską, córką napoleońskiego oficera (w rzeczywistości prostego austriackiego gemajna). Wacław Benesz, na dwa lata przed śmiercią dyktujący historię rodu, skarżył się na syna, że ten dał się zniemczyć, a swoim świetnym pochodzeniem nie bardzo się przejął. Ernest, jeden z dwóch synów Antonia, urodzony w 1848 roku, wyemigrował z Moraw do Polski (Galicji), wziął ponoć udział w powstaniu styczniowym, a następnie, już jako inżynier nafciarz, został współpracownikiem samego Łukasiewicza. Umierając w 1877 roku Antonio przekazał Ernestowi dokumenty i pamiątki rodzinne, przykazując mu jednakże nigdy do sprawy z Inkami nie wracać. Syn Ernesta, Janusz, oficer WP, też niezbyt się rodowodem interesował. Dopiero jego syn, Andrzej Benesz, szybko wspinający się po szczeblach partyjnej i państwowej kariery w PRL, łamiąc tabu, zajął się sprawą swego inkaskiego pochodzenia na poważnie, aż zginął tragicznie w wypadku samochodowym w 1976 roku.

III. Fikcja?

Autentyczność powyższej historii od samego początku wzbudzała wiele wątpliwości i początkowo liczny zastęp jej bezkrytycznych entuzjastów szybko się wykruszał. Nawet to, co na pierwszy rzut oka wydawało się bezspornym autentycznym, traciło na wiarygodności po wnikliwszym badaniu. Aby przedstawić problem „niedzickiej legendy” w całej jego złożoności, najlepiej podzielić go na poszczególne kwestie i zaprezentować argumentację zarówno przeciwników, jak i zwolenników prawdziwości tej niebywałej historii.

Kwestia pierwsza: dokumenty

Argumentacja przeciw ich autentyczności. Nie istnieje żaden dokument, który miałby wartość dowodu. Tzw. „akt adopcji Antonia Inkasa”, znany jest (i to tylko w małym fragmencie) jedynie z odpisu księdza Mytkowicza. Nikt poza nieżyjącym od dawna kapłanem nie widział oryginału. Nie ma też w archiwum Wojewódzkiego Urzędu Konserwatorskiego w Krakowie protokołu z wydobycia tutej zawierającej kipu (podobno papier ów zaginął), jest jedynie sprawozdanie Andrzeja Benesza, sporządzone jednak dwa tygodnie po fakcie i to już w Bochni. I jeżeli również pod tym dokumentem znajdują się podpisy świadków oraz pieczęcie sołtysa Niedzicy i tamtejszej strażnicy WOP, to chyba musiały zostać złożone *in blanco*, a to bynajmniej wiarygodności tego dokumentu nie podnosi. Inne zachowane dokumenty, pracownie zebrane przez Aleksandra Rowińskiego, sprawy co prawda dotyczą, ale nie dotyczą jej meritum.

Anna Kowalska-Lewicka podjęła się (z zastrzeżeniem, iż nie jest językoznawcą) analizy leksykalnej zachowanego odpisu „aktu adopcji” Antonia Inkasa i stwierdziła, iż znajdujące się w nim słowa — uciekinierzy, koncesja i emisariusze — nie były używane w XVIII–wiecznej polszczyźnie. Na dodatek w tekście występują obok siebie poprawnie, wedle autorki, użyta forma „Inkowie” w liczbie mnogiej i niepoprawna „Inkas” w l. pojedynczej, utworzona od liczby mnogiej (*Incas*) w języku hiszpańskim.

Argumentacja za autentycznością zachowanej dokumentacji. Archiwum rodziny Beneszów zawiera nie tylko odpisy zaginionych dokumentów, ale i wiele innych, mających wartość do-

wodową, nie można ich jednak zbadać, gdyż rodzina Beneszów, zmęczona szumem wokół siebie, nie chce słyszeć o ich udostępnieniu. Co do podpisów pod sprawozdaniem Andrzeja Benesza z jego penetracji niedzickiego zamku, to wcale nie musiały być one złożone *in blanco*, lecz Andrzej Benesz mógł po ich uzyskaniu ponownie udać się do Niedzicy, ale tego już nam nie wyjaśni.

Co do zakwestionowanego słownictwa „aktu adopcji” Antonia Inkasa, to wedle Aleksandra Rowińskiego wynika to z faktu, że oryginał sporządzony był po łacinie, a błędy leksykalne popełnił ksiądz Mytkowicz podczas pospiesznego tłumaczenia tekstu. Jednak teoria o łacińskim brzmieniu oryginału jest, co prawda świeża i odkrywcza, ale nie wygląda zbyt prawdopodobnie. Wydaje się, że można ową sporną kwestię wyjaśnić znacznie prościej. Otóż takie słowa jak koncesja czy emisariusz pochodzą z łaciny (*concessio* i *emissarius*). Powszecznie używane w nowszej polszczyźnie, łatwo mogły się znaleźć i we wcześniejszej powstałym dokumencie, zwłaszcza gdy jego autorem był szlachcic starej daty, przyzwyczajony do posługiwania się makaroniczną i pełną łacynizmów polszczyzną. Zaś przydomek Antonia — „Inkas” faktycznie brzmi niepoprawnie, ale tylko z punktu widzenia dzisiejszych norm językowych. Zarówno forma „Inkasy” (obok innych, bo B. Chmielowski w „Nowych Atenach” pisze o Inkarach), jak i „Inkas” w liczbie poj. w końcu XVIII wieku były bardzo rozpowszechnione⁶. A i dziś przecież, choć to niezbyt ładnie, siłą tradycji mówimy i piszemy „Zulus” czy „Siuks”, które podobnie jak osiemnastowieczny „Inkas” są niezbyt fortunnymi przykładami utworzenia liczby pojedynczej od mnogiej z języka obcego. Dziwić może raczej niekonsekwencja autora „aktu adopcji”, używającego równocześnie starszej formy w liczbie pojedynczej i nowszej w mnogiej, ale i to zapewne można by wyjaśnić w jakiś mniej lub bardziej przekonywujący sposób.

Kwestia druga: kipu

Argumentacja przeciw jego autentyczności. Kipu, czyli tzw. „pismo” węzłkowe było starym, inkaskim sposobem sporządzania nota-

6. Por. dzieło Marmontela *Inkasy czyli zniszczenie państwa Peru* wyd. w Polsce w 1781 roku w tłum. Stanisława Kłokockiego.

tek głównie o charakterze statystycznym, acz nie tylko. Kiedy w XVI wieku, zarządzający Wicekrólestwem Peru, licencjat Vaca de Castro kazał wezwać do siebie czterech ocalałych interpretatorów kipu, czyli kipu-kamajoków, zdołali przy pomocy posiadanych przez siebie kipu, analizując barwę poszczególnych wełnianych sznurów oraz rodzaj i miejsce usytuowania węzłów, odtworzyć z najdrobniejszych szczegółami historię dynastii Inków oraz ich państwa od samego jego zarania.

Zapisanie treści testamentu w postaci kipu, razem z miejscem ukrycia masy spadkowej, nie byłoby niczym nadzwyczajnym, gdyby nie to, że nauka nie zna ani jednego egzemplarza rzeźbiennego kipu (wszystkie są wełniane). Milczą też o nich relacje z czasów konkwisty i późniejszych. Poza tym już w XVI wieku większość „archiwów” z kipu było zniszczonych, a kipu-kamajokowie wymordowani i to nie przez Hiszpanów, a uzurpatora na inkaskim tronie — Atahualpę, który pragnął, by od jego panowania zaczynała się nowa historia Inków. W XVIII wieku najprawdopodobniej nie było już nikogo, kto umiałby sporządzać i odczytywać kipu. Taki stan trwa zresztą do dziś, choć naukowcy nie ustają w wysiłkach. Jedną z bardziej znanych badaczek kipu jest peruwiańska uczona — Victoria de la Jara, która osiągnęła już na tym polu pewne sukcesy.

Na dodatek oryginał „kipu” odnalezionego w Niedzicy zniknął jak kamfora. Andrzej Benesz twierdził, że wysłał go do Peru do ekspertyzy, ale żaden instytut naukowy w Ameryce Południowej nic o tym nie wie.

Nie ma przy tym wcale pewności, że rura z pękiem rzemieni przeleżała pod zamkowym progiem sto pięćdziesiąt lat. To prawda, że przy jej wydobyciu asystowało aż dziesięciu świadków, że rzemienie były zetłate, a rura skorodowana, ale któż zaręczy, że zestarzały się właśnie w tym miejscu, a nie zostały podrzucone między rokiem 1945, kiedy zamek niedzicki opuściła ostatnia dziedziczka, hrabina Salamon, a przejęciem go w 1946 roku przez państwo. Albo jeszcze wcześniej.

Operacja podniesienia kamiennego progu nie mogła być specjalnie skomplikowana, skoro Andrzejowi Beneszowi i jego asystentom zajęła raptem pół godziny. Nie jest też wcale pewne, czy ów próg rzeczywiście był zespojony z kamiennymi odrzwiami starą, omszałą zaprawą, mamy na to tylko słowo Andrzeja Be-



nesza, gdyż wśród świadków, podnieconych przedsięwzięciem, które trwało zresztą bardzo krótko, zabrakło specjalisty od spraw budowlanych.

Zastanawia również, że Andrzej Benesz, twierdził iż nigdy wcześniej w zamku nie był, a zwracając się do urzędu Konserwatorskiego w czerwcu 1946 roku z prośbą o zezwolenie na penetrację zamku, prosi także o „zezwolenie na zaszalowanie deskami wybitych okien mieszkalnej części zamku niedzickiego”, gdyż „zaciekający tam deszcz czyni bowiem ogromne spustoszenie w tej partii zamku”. Skąd to wiedział?

Argumenty za autentycznością niedzickiego kipu. Znana podróżniczka, Elżbieta Dzikowska zapytała Victorię de la Jarę, czy może być kipu ze skóry? „Oryginalne nie — odparła Victoria, ale przecież sznurki bawełniane lub z wełny mogły podczas podróży do Europy zniszczyć się i wykonano na ich wzór kipu z trwałszego materiału”⁷. Dość dziwne to tłumaczenie, podobnie jak to, że sporządzono kipu z rzemienia z powodu braku wełny. Doprawdy, ani przed dwustu laty ani dziś owiec na Spiszu nie brakuje.

Ważne wydaje się, że choć umiejętność sporządzania kipu w XVIII wieku już zanikła, to pamięć o nim przetrwała i testament przeznaczony dla Antonia Inkasa został po prostu zaszyfrowany w postaci przypominającej autentyczne kipu, którego rozkodać mogli tylko jego twórcy, owa tajemnicza Prześwietna Rada Emisariuszy Inków.

Ponieważ podpisy i pieczęcie pod sprawozdaniem Andrzeja Benesza z prac wydobywanych na zamku są niewątpliwie autentyczne, należy odrzucić wszelkie spekulacje i przyjąć, że opis wydarzeń podany przez Andrzeja Benesza odpowiada prawdzie, a świadkowie wiedzieli, co podpisują i w pełni się z tym zgadzali.

7. Elżbieta Dzikowska: *Limańskie ABC*. Warszawa 1981.

Ani Andrzej Benesz, ani żaden z jego przodków między rokiem 1797 a 1946 nie miał dostępu na zamek w Niedzicy. Od początku XIX wieku aż po rok 1945 zamek był nieprzerwanie zamieszkały najpierw przez Palocsayów, potem przez ich spadkobierców Salamonów, którzy nigdy nie gościli u siebie żadnego Benesza. Zaś ostatnia właścicielka, hrabina Salamon w ogóle nie wpuszczała za bramę nikogo obcego, co potwierdza Jan Józef Szczepański, który w dzieciństwie bawił w okolicy i usiłował dostać się na zamek. Nie do pomyslenia jest zatem, aby zezwoliła ona któremukolwiek z Beneszów zakopywać cokolwiek pod zamkowym progiem, zapewne nie wpuściłaby ich nawet za ten próg.

Pozostaje zatem krótki okres 1945–46, kiedy zamek stał pusty po odejściu właścicielki do Budapesztu, a przed wzięciem go w opiekę przez władzę ludową. Kto żyw mógł w nim wtedy buszować do woli i szabrować, co tylko się dało, z czego okoliczna ludność nie omieszkała skorzystać. Kiedy szabrownicy opuścili zamek, łatwo byłoby dostać się do środka i podrzucić cokolwiek w dowolnym miejscu.

Tylko, że Franciszek Sztylak, obecnie przewodnik na zamku, syn miejscowego fornała, stanowczo twierdzi, że ani on, ani nikt inny ze wsi nigdy w zamku Andrzeja Benesza nie widział, ani nie natknął się na niego w okolicy, z wyjątkiem tego jednego dnia, 31 lipca 1946 roku, kiedy to wydobyto rurę z kipu, w czym pomagał także Franciszek Sztylak.

Poza tym wyjęcie progu z kamiennej futryny zajęło, owszem, niespełna pół godziny, ale dziesięciu ludziom. Gdyby Andrzej Benesz miał podrzucić kipu pod ów próg, nie mógłby tego praktycznie uczynić sam, musiałby mieć pomocników, a wtedy raczej na pewno nie udałoby się zachować tajemnicy i matactwo prędzej czy później wyszłoby na jaw.

Kwestia trzecia: *dramatis personae*

Argumentacja przeciw ich historyczności. Wedle wszelkich dostępnych źródeł polska linia rodu Berzewiczycy, baronów de Dondangen, wygasła na długo przed narodzeniem Sebastiana, nigdy też obecności przedstawicieli tego rodu nie odnotowano na Wołyniu. Ba, ani wśród polskich czy węgierskich Berzewiczycy nie spotyka się imienia Sebastian. Jest to postać całkowicie fikcyjna, tak samo jak jego rzekoma córka Umina, która będąc chrześcijanką,

nie mogła nosić tak dziwnego imienia, zatem — nie istniała wcale.

Wacław Benesz istniał naprawdę, ale był zwykłym lykiem, nie szlachcicem, gdyż Beneszowie-szlachta wygasła mniej więcej wtedy, co polscy Berzewiczowie. Jego syn Antoni (żaden Antonio i na pewno nie Inkas) też był zwyyczajnym rzemieślnikiem. Dopiero jego syn Ernest, po przeprowadzce z Moraw do Galicji, zaczął robić karierę i wspinać się po szczeblach drabiny społecznej. I jeżeli nie jego wnuk, Andrzej Benesz, to właśnie Ernest zapewne jest autorem historyjki o swym inkaskim rodowdzie. Wiek XIX obfitował bowiem w tym podobne niestworzone historie rodzinne, produkowane przez wzbogaconych przedstawicieli niższych warstw społecznych, którzy snobowali się na szlachtę.

Andrzej Benesz, który sprawie nadał rozgłos, nie jest wiarygodny, bo albo naiwnie uwierzył w rodzinną bajkę albo sam ją spreparował, aby olśnić otoczenie, a głównie swoją narzeczoną, egzotycznym i nobliwym pochodzeniem.

Na koniec argument decydujący — nigdzie nie ma wzmianki (choć Al. Rowiński twierdzi, że takowe znalazł), dokonanej przez współczesnych, o pobycie Sebastiana i jego kompanii ani w Wenecji, ani Niedzicy. Nie ma śladu tego epizodu nawet w ustnej tradycji spiskiej.

Argumenty za historycznością głównych bohaterów. Rodzina Beneszów posiada dowody w postaci drzewa genealogicznego, z którego niezbiecie wynika, iż Sebastian Berzewicz, dziadek Antonia Inkasa był praprawnikiem Marcina de Berzewicz, sekretarza króla Stefana Batorego, który za ogromne zasługi przyznał mu polski indygenat (z herbem własnym) oraz tytuł barona de Dondangen od posiadłości w Inflantach, czy też raczej w Prusach. Zaś przybrany ojciec Antonia, dwójga nazwisk Wacław Benesz de Berzewicz, nosił pierwszy człon nazwiska z powodu pewnej pani Berzewiczowej, która porzuciła ślubnego małżonka i zaczęła używać panińskiego nazwiska, które z kolei jej potomstwo doczepiło sobie do rodowego. Dość karkołomna to kombinacja i na dodatek wynika z niej niezbiecie⁸, że Wacław w żaden sposób nie mógł być bratankiem Sebastiana.

Wobec tego o wiele sensowniejsze wydaje się założenie, że Sebastian był także zwykłym

8. Por. drzewo genealogiczne Beneszów zamieszczone w: *Pod kłatwą...* s. 166–67

lyczkiem z Moraw o nazwisku Benesz, który w poszukiwaniu fortuny dotarł do Polski i tu przybrał nazwisko znanego acz wygasłego już rodu, ponieważ ryzyko wykrycia oszustwa było w takim przypadku mniejsze. Wystarczyło liżnąć nieco szkolnej edukacji i posiadać trochę obycia (zdobytego na służbie u wielmoży), aby udawać pana. „Dużo takiej właśnie szlachty wyszło z krakowskiego szpitala św. Ducha, gdzie wychowywano podrzutków; zdolniejsi z nich pobierali naukę szkolną i potem łatwo uzyskiwali posady, zwłaszcza że wśród nich dużo było dzieci nieślubnych szlachty czy duchowieństwa, którym wpływowi ojcowie pragnęli ułatwić karierę życiową”⁹.

Przytoczyłem powyższy fragment nie bez kozery. Otóż „legenda niedzicka” każe ciężko rannemu Sebastianowi szukać ratunku u ojców augustianów w Krakowie, a Andrzej Benesz znajduje akt adopcji Antonia Inkasa w archiwum kościoła św. Krzyża. Jakoś do tej pory nikt nie zauważył związku między tymi zdarzeniami, a takowy oczywiście istnieje.

Otóż od czasów średniowiecznych aż do końca XIX wieku istniał w Krakowie przy ul. Szpitalnej kościół, klasztor i szpital (stanowiące jeden kompleks) należący do oo. augustianów od św. Augustyna de Saxia, zwanych potocznie duchakami. To oni właśnie opiekowali się sierotami, chorymi i bezdomnymi. Już po rozwiązaniu kongregacji, pod koniec XIX wieku (mimo protestów m.in. Jana Matejki) kompleks budowli zakonnych wyburzono, zaś całą ocalałą dokumentację prawdopodobnie przeniesiono do sąsiedniego kościoła św. Krzyża, który sam kiedyś stanowił integralną część zabudowań duchackich.

Czyżby Sebastian był w dzieciństwie wychowankiem duchaków? Czy w obliczu śmierci szukał ratunku u swych dawnych opiekunów biegłych w sztuce lekarskiej? Czy przed śmiercią schował dla potomnych akt adopcji Antonia Inkasa do okładki nieużywanego mszału? Nigdy się tego nie dowiemy na pewno, lecz jest to dość prawdopodobne.

Umina — cóż za dziwaczne, niespotykane imię! Uważa tak Jan Józef Szczepański, tłumacząc je jako zniekształconą formę hiszpańskiego imienia Jimena. Anna Kowalska-Le-wicka twierdzi wręcz, że chrześcijanka nie mogłaby nosić podobnie barbarzyńskiego imienia.

9. Jan St. Bystron: *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce*. Warszawa 1976. Tom 1, s. 184.

Elżbiecie Dzikowskiej też nic to imię nie mówi. A przecież obie panie są amerykańkami, bywały w Peru i na pewno znają język keczua lepiej od niżej podpisanego. Tymczasem udało mi się mimochodem wykryć, iż imię Umina nie jest przypadkową, brzmiącą egzotycznie zbitką głosek. W języku keczua Umina (a właściwie Umiña, lecz język polski nie zna znaku diakrytycznego ñ, więc albo się go opuszcza, albo dodaje zmiękczone i, np. *senor – senior*) znaczy Kamień Szlachetny (Klejnot). Imię to zatem jak najbardziej stosowne dla inkaskiej szlachcianki z domieszką krwi królewskiej, choć przyznać trzeba, że kroniki hiszpańskie z czasów konkwisty nie notują takiego imienia. Chrześcijaństwo nie ma tu nic do rzeczy. W XVIII wieku wszyscy potomkowie Inków byli już od dawna szczerymi chrześcijanami, równocześnie przeżywając renesans dumy ze swego pochodzenia, co m.in. przejawiało się w przybieraniu indiańskich imion. I tak np. sam wódz powstańców — Jose Gabriel Condorcanqui znany był i jest pod swym inkaskim imieniem Tupaka Amaru II.

Andrzej Benesz nie wysłał więc z palca imienia bohaterki swej historii, której też nie wymyślił ani nie spreparował dowodów na jej potwierdzenie, gdyż wcale nie był mitomanem, jak twierdzą niektórzy. Dowodem na to jest fakt, że cieszył się szacunkiem i piastował odpowiedzialne stanowiska państwowe (był marszałkiem sejmu), choć zaraz zripostują sceptycy, że nie tacy robili w PRL kariery.

Prawdą jest za to bezsporna, że, mimo wysiłków Al. Rowińskiego, wciąż w dokumentach z epoki nie znaleziono śladu po Sebastianie Berzewiczym, Uminie i Inkach. Z drugiej strony jednak, kto ukrywający się przed śmiertelnymi wrogami i będący przy zdrowych zmysłach rozsiewałby za sobą wpisy do ksiąg hotelowych i rozdawał wizytówki, zwłaszcza gdyby targał ze sobą ogromny skarb? Nie jest to, co prawda, argument naukowy, ale bez wątplenia logiczny. W ostateczności można przyjąć „na wiarę” te dowody, które zaprezentowane zostały przez Al. Rowińskiego.

IV. Wierutna bzdura, legenda czy jednak historia?

W świetle tego, co już zostało powiedziane, dla każdego chyba jest jasne, iż mimo wysiłków entuzjastów niedzickiej historii, nie ma

bezpośrednich dowodów na jej prawdziwość. Argumenty przeciw jej autentyczności mają jakby większą wagę.

Jeśli jednak sięgniemy do dowodów pośrednich, czyli kontekstu historycznego, sytuacja odmieni się radykalnie. Tutaj entuzjaści mają znaczną przewagę nad sceptykami.

Przyjrzyjmy się zatem miejscom, w których osadzona jest akcja „niedzickiej legendy”, aby uzmysłowić sobie, jak wyglądały tamtejsze realia w XVIII wieku.

Polska. W 1797 roku już nie istniała, trzeci rozbiór dokonał się dwa lata wcześniej, ale w chwili, gdy Sebastian opuszczał kraj, daleko było nawet do I rozbioru.

Rzeczpospolitą czasów saskich i stanisławowskich zamieszkiwała wyjątkowo liczna w skali europejskiej warstwa szlachecka, sięgająca około 10% populacji w ogóle. Sporą część tej licznej gromady, jak już powiedzieliśmy, stanowiła szlachta nobilitowana bezprawnie, albo zgola samowolnie. Sebastian Berzewicz, potomek starego rodu, prawie na pewno nie istniał, lecz mógł istnieć samozwaniec (z plebejskiej rodziny Beneszów), który przywłaszczył sobie nazwisko i tytuł. Jeśli miał więc tyle tupetu, to również inne, przypisywane mu czyny wcale nie są wykluczone.

Nie tylko Polska, ale cała XVIII-wieczna Europa roiła się wręcz od podobnych awanturników. Wystarczy wspomnieć najbardziej osławionych: Cagliostro i Casanovę. Pierwszy z nich tak naprawdę nazywał się zwyczajnie Józef Balsamo, ale wolał występować jako hrabia Alessandro Cagliostro lub markiz Pellegrino. Podróżował po całej Europie, ciesząc się dużym wzięciem u dam. Udawał alchemika, lekarza-cudotwórcę, spirytystę itp. Gdyby uwierzył w to, co opowiadał o swojej długowieczności (znał ponoć Juliusza Cezara i Jezusa Chrystusa, żeby wymienić tylko tych najslawniejszych), to niespełna stuletni Sebastian jawi się przy nim niezłym młodzieniaszek. Drugi, też Włoch, równie jak tamten ruchliwy (bywał nawet w Warszawie, goszczony przez samego Stanisława Augusta), prowadził jeszcze bardziej awanturniczy żywot uwodziciela, hazardzisty i szarlatana. Obaj zmarli niemal w tym samym czasie, co Sebastian.

Jednak prawdziwym alter ego Sebastiana mógłby być Maurycy Beniowski, też żyjący z nim współcześnie. Prawie nic pewnego o nim nie wiadomo, w każdym razie o jego pocho-

zeniu. Prawdopodobnie był Węgrem, a może Słowakiem albo nawet Polakiem — ostatecznie brał czynny udział w konfederacji barskiej i to gdzie? Na Spiszu! Wzięty przez Rosjan do niewoli, został zesłany na Kamczatkę, gdzie stanął na czele zbuntowanych katorżników, po czym na zdobyczym okręcie dotarł do leżącego w Chinach Makau, stamtąd trafił do Paryża, gdzie w randze pułkownika zaciągnął się do wojska i wziął udział w kolonizowaniu Madagaskaru przez Francuzów, ale stanął po stronie Małgazy, którzy obwołali go królem Madagaskaru. Wypędzony z wyspy przez Francuzów, zaciągnął się do wojska austriackiego, po czym wyjechał do Ameryki, aby wziąć udział w wojnie o niepodległość USA. Kiedy jego usługi odrzucono, wrócił na Madagaskar, gdzie zginał z rąk Francuzów.

Można założyć z dużą dozą pewności, że jeśli Sebastian Berzewicz nie istniał wcale, to autor jego fikcyjnej biografii oparł ją na awanturniczym żywocie Beniowskiego.

Peru. Nie ma w źródłach wzmianki o udziale Polaka w powstaniu Tupaka Amaru II w Wiccekrólestwie Peru w latach 1780–81, ale niewiele to znaczy, gdyż ten okres peruwiańskiej historii do dziś jest słabo zbadany¹⁰.

Samo powstanie, największe w okresie kolonialnym, jest natomiast faktem niewątpliwym i tragicznym. Na jego czele stanął wykształcony Metys, spokrewniony po kądzieli z panującą w Peru przed konkwistą dynastią Inków. Nosił hiszpańskie nazwisko Condorcanqui (Jose Gabriel) i był, jak wielu potomków inkaskiej szlachty, niższym urzędnikiem administracji hiszpańskiej, tzw. kacykiem. Powstanie było wymierzone jedynie przeciwko uciskowi kolonialnemu ze strony tzw. gacupinów, czyli Hiszpanów przysłanych z metropolii, którzy wynosili się ponad innych mieszkańców Peru — Kreoli, Metysów, o Indianach i Murzynach nie wspominając. I choć Condorcanqui przybrał sobie z populistycznych względów imię po swym praszczurze — Tupac Amaru — to nie chciał wcale wskrzeszać dawnego imperium Inków, tylko przepędzić gacupinów i utworzyć nowoczesne państwo demokratyczne. Stąd miał początkowo (dopóki wygrywał) poparcie ze strony wszystkich grup społecznych z wyjątkiem rządzącego establishmentu. W tej

10. Por. Aleksander Posern-Zieliński: *Ruchy społeczne i religijne Indian hiszpańskiej Ameryki Południowej (XVI–XX w.)*. Ossolineum. Wrocław 1974.

przedziwnej mieszance ras, narodowości i kultur złączonych wspólnym celem, z pewnością znalazłoby się też miejsce dla Polaka z żyłką awanturniczą.

Małżeństwo Sebastiana z inkaską księżniczką również było możliwe — od początku konkwisty Europejczycy i Inkowie nie stronili od związków krwi. Dla jednych, często niepewnych pochodzenia (jak Sebastian) taki związek oznaczał nobilitację, dla drugich — nadzieję na utrzymanie swej uprzywilejowanej pozycji. Sam Tupac Amaru II był Metysem.

„Legenda niedzicka” związała małżeńskim węzłem jednego z krewniaków Tupaka Amaru II, Andresa, z córką Sebastiana, Uminą. Zdziwiałe, że do dziś los Andresa Tupac Amaru pozostaje niewyjaśniony, podczas gdy reszta rodziny przywódcy powstania, na czele z nim samym, po klęsce została bądź stracona w najokrutniejszy sposób, bądź dokonana żywota w hiszpańskim więzieniu. Gdyby rzeczywiście Andresowi udało się uciec do Europy, to syn jego i Uminy, Antonio Inkas, faktycznie byłby jedynym spadkobiercą praw do inkaskiego tronu i z tej racji wszyscy uciekinierzy mogli być jak najzasadniej zaciekle ścigani przez hiszpańską inkwizycję, która mimo poważnego osłabienia przetrwała w Hiszpanii aż do okupacji francuskiej na początku XIX wieku.

Wenecja. Dawna potęga dożywała pod koniec XVIII wieku swych dni (dokładnie w 1797 roku Francuzi położyli kres jej niepodległości), stając się „gospodą Europy. Zewsząd przybywali tu bogaci cudzoziemcy, żeby trwonąć pieniądze wśród uroków, których dostarczało to przepiękne miasto karnawałów, koncertów, oper, teatrów, domów gry i kurtyzan. Ściągali tu różni awanturnicy, szukali zapomnienia zbankrotowani politycy, a także znajdowali azyl ludzie prześladowani, w Wenecji bowiem panowała atmosfera dużej swobody”¹¹.

Dość powiedzieć, że po upadku powstania kościuszkowskiego i państwa polskiego, polscy patrioci uciekli najpierw do Wenecji, zanim stamtąd wyjechali do Francji tworzyć legiony poza granicami kraju i przygotowywać nowe powstanie w rozebranej Polsce.

Wiadomo również skądinąd, że hrabia Józef Horwath de Palocsy, żądny ucieki światowic, rzadko przebywał w swoich dobrach na Spiszu, skąd bezustannie domagał się jedynie do

11. E. Rostworowski: *Historia powszechna, wiek XVIII*. Warszawa 1977, s. 559.

plywu świeżej gotówki, którą przepuszczał w różnych metropoliach europejskich, zapewne także w Wenecji, skoro tu o rozrywki było najłatwiej. Bez trudu mogli się tu spotkać z Sebastianem Berzewiczym i dobić targu w sprawie zamku dunajeckiego.

Niedzica. Zamek niedzicki, zwany dawniej Dunajec, przez ok. pół wieku był całkowicie opuszczony. Chodzi o okres od roku 1776, kiedy to zmarł ostatni Giovanelli, który zresztą w zamku nie mieszkał, aż po rok 1821, kiedy do zamku (po spaleniu się pałacu w Palocsy — Plawcu) przeniósł się na stałe Andrzej Horwath de Palocsy, syn Józefa.

W tym okresie zamek popadł w całkowitą niemal ruinę. Gdyby Sebastian rzeczywiście wyraził chęć wykupienia lub wynajęcia takiej rudery, Palocsayowie z pewnością o choczko by na to przystali. A gdy już za zbiegami zamknęła się zamkowa brama, mogło się tam wydarzyć wszystko, z serią morderstw włącznie, a i tak nic by się poza mury nie rozniosło.

Nie sposób zaprzeczyć, że „legenda niedzicka” rozgrywa się w czasie i miejscach, które mogły być widownią zdarzeń najdziwniejszych. Jeśli zaś została całkowicie zmyślona ze względów prestiżowych przez Andrzeja Benesza lub jego dziada Ernesta, to autor tych zmyśleń musiał być prawdziwym erudytą w zakresie historii XVIII wieku i to ze szczególnym uwzględnieniem historii Peru i dziejów dynastii inkaskiej. A skoro nim był, to dlaczego sporządził rzemieńskie kipu? Przecież zaraz po wojnie przebywał w Szczecinie, gdzie w tamtejszym muzeum znajdowały się kipu autentyczne, którym mógł się przypatrzeć do woli.

Nieodgadniona pozostaje również sprawa skarbu, który Inkowie mieli przywieźć ze sobą do Niedzicy, a następnie ukryć, zapewne w grobie Uminy, którą ponoć pochowano w srebrnej trumnie pod kaplicą zamkową. Prowadzone na zamku po wojnie badania archeologiczne tego jednak nie potwierdziły. Nie było we wskazanym w „akcie adopcji Antonia Inkasa” miejscu ani trumny, ani skarbu. Jednak i Wacław Benesz nie pozostał w zamku jak powinien, wedle wspomnianego dokumentu. Wrócił do Krumłowa razem z Antoniem. Może trumna i skarb też zmieniły lokalizację?

Nie jest za to niejasna kwestia dwóch pozostałych domniemyanych miejsc ukrycia skarbow

inkaskich, których nazwy zostały wyryte na złotych blaszkach niedzickiego kipu. Faktycznie, gdy Hiszpanie zdradziecko zamordowali ostatniego Inkę, Atahualpę, który w zamian za życie obiecał im dostarczyć ogromny okup, Indianie pochowali resztę skarbow, z czego większość, jak chce tradycja, została zatopiona w jeziorze Titicaca. Z kolei w 1702 roku Srebrna Flota, wioząca kruszec wydobyty w kopalniach Peru i Meksyku, zaatakowana u hiszpańskich brzegów przez piratów angielskich i holenderskich, została zmuszona do wrzucenia skarbu w wody zatoki Vigo¹².

Skarbu w każdym razie w zamku nie ma. Została jednak Umina i to na zawsze. Kilku wiarygodnych świadków widziało na zamku snującą się nocami zjawę w postaci kobiety w bieli. Owa Biała Dama z niedzickiego zamku została zaliczona nawet w poczet duchów polskich¹³. Może duch Uminy strzeże jednak skarbu? Niebezpiecznie jest więc go szukać, można to przypłacić życiem, jak Andrzej Benesz, który zginął tragicznie w wypadku samochodowym, przed nim zaś zginęli ci, którzy mu asystowali przy wydobywaniu kipu, a potem składali swe podpisy pod sprawozdaniem z tego przedsięwzięcia. Ponoć ostatnią ofiarą żądy inkaskiego złota był pewien radiesteta, który przy pomocy różdżki próbował odnaleźć miejsce ukrycia skarbu i znaleziono go martwego nad mapą okolic Niedzicy. Skarb Inków chroni bowiem klątwa kapłanów, tak jak to napisał Aleksander Rowiński, któremu niestety nie udało się wykazać, że historia ta naprawdę miała miejsce. Pozostaje więc nadal jedynie legenda. W każdej legendzie jest wszelako pomiędzy plewami ziarno prawdy. Przecież tylko na podstawie legendy, zapisanej przez Galla Anonima i popartej logicznym rozumowaniem, przyjmują dziś historycy za pewnik, że przed Piastami rządziła Polanami dynastia Popielidów. Dowodów na to przecież nie ma.

Poczekajmy, może kiedyś znajdą się mocniejsze dowody na pobyt prawdziwych Inków na polskiej ziemi, a na razie kontentujmy się piękną legendą, tak bardzo ubarwiającą rodzimy folklor. □

Mariusz Wolny

12. Zob. Robert Charroux: *Księga skarbow.* Wyd. Pandora, [b.m.w.] 1992, s. 56–61.

13. B. Wernichowska, M. Kozłowski: *Duchy polskie.* Warszawa 1983, s. 117–121.

prowadzi Bartek Stranz

Zima w Browning

Pamięć o bogactwach narodowych, pozornie straconych na zawsze, nie jest niczym dziwnym ani właściwym tylko niedzickim Inkem /jeden z argumentów A. Nowalskiej-Le-wickiej przeciwko autentyczności niedzickiego kipu i prawdziwości całej historii/. Wystarczy wspomnieć "sumy neapolitańskie" /a także bajońskie/, o które Polska upominała się bezskutecznie przez 200 lat.

Ku mojemu zdziwieniu samolot miał spóźnienie sześć godzin, co spowodowało, że nie zla-pałem samolotu z Nowego Jorku do Detroit. Spędziłem noc w Nowym Jorku. Miałem mieszane uczucia do co obsługi LOT-u, ponieważ targalem wielogabne bagaże i dobrze chociaż, że LOT zapewnił mi spoczynek w hotelu, że-bym zaległ, złożył swoje zwłoki, ale jeśli chodzi o pomoc w sensie bagaży to tandeta, nie chcieli udzielić mi żadnej pomocy. Wreszcie wszedłem na ambicję jakiejś stewardesy i znalazł się człowiek, który mi pomógł przenieść mój dobytek.

Następnego dnia z Nowego Jorku udałem się do Detroit, gdzie spędziłem półtora dnia. Odwiedziłem znajomych oraz rodzinę. Z powodu ceny biletu, jak i warunków zimowych, które były ciężkie w styczniu, stwierdziłem, że zamiast samolotem pojedę pociągiem. I tak się stało. Kupiłem bilet linii Amtrak i kolejny raz ruszyłem pociągiem do Browning. Oczywiście pociąg miał spóźnienie osiem godzin. Zamiast przyjechać we wtorek o siódmej wieczorem, byłem w środę o trzeciej nad ranem. Zostałem odebrany przez moich znajomych z pobliskiego dworca, który przypomina co najmniej Dzieki Zachód z początku tego wieku.

Błogosławiłem ten dzień, kiedy wylądowa-łem w Browning i dziękowałem gospodarzom, u których mieszkam, za cierpliwość w oczekiwaniu na mnie. Pospiesznie zostałem przewieziony do domu i oczywiście rozmowy do rana, rozpakowywanie prezentów, itd. Tego samego dnia po południu, zmęczony podróżą, jak

ne lody pomiędzy mną a spotecznością w tym mieście, ponieważ nie tylko gospodarze mnie wyczekiwali, ale również okoliczni znajomi; nie tylko Indianie, ale też i biali.

Dwa dni zajęło mi zanim się rozpakowałem i odwiedziłem najbliższych znajomych. Po dwóch dniach sielanki i odpoczynku zebrałem się do kupy i zacząłem myśleć o college'u. Wypełniłem wszystkie formularze i 13 stycznia zacząłem chodzić do szkoły. Pierwsze dwa tygodnie były dla mnie tragedią, ponieważ nowe środowisko, nowe otoczenie, bariera językowa... Ławki szkolnej nie widziałem od pięciu lat. Ponadto jeszcze wspomnienia z Polski. Myślałem, że eksploduję. Po pierwszych trzech dniach chciałem dać drapakę, pójść na wagar, ale niestety -30°C na dworze, śnieg, zawierucha nie pozwoliły mi zrealizować tej myśli. Trzeba było to jakoś przebrnąć. Muszę powiedzieć, że nauczyciele byli bardzo wyrozumiali wobec mnie, dużo mi pomagali na początku, za co jestem im wdzięczny. W semestrze zimowym obrałem sobie przedmioty: *Writing English, Reading English i College Success Skills.* To były trzy przedmioty, które ciągnąłem przez dwa i pół miesiąca. Jakoś dałem sobie radę.

Wiosenny semestr zaczął się na początku kwietnia. Tym razem obrałem bardziej specjalistyczne przedmioty, ukierunkowane wyłącznie na kulturę Blackfeet. Chcę pokazać swym nauczycielom, jaką drogę i wykształcenie chcę wybrać. Doszedłem do wniosku, że chcę pójść w kierunku *Blackfeet Studies.* Obejmuje to